



HIERONIM SKURPSKI

Na polach GRUNWALDU

O BIEKTEM naszego zainteresowania jest „muzeum wiejskie” w Olsztynku, całkowicie nieznane szerszemu ogółowi i mieszkańcom ziem warmińsko-mazurskim. Zostało ono tymczasowo zabezpieczone przez Muzeum Mazurskie z Olsztyna i leży w obrębie miasteczka Olsztynka w powiecie ostródzkim, oddalonego 29 km na południowy zachód od miasta wojewódzkiego.

Koncepcja muzeum na wolnym powietrzu zrodziła się jak wiadomo w przedostatnim dziesięciu lat poprzedniego stulecia. Inicjatorem był A. Haselius, szwedzki etnograf i historyk kultury, a przede wszystkim fanatyczny wielbiciel ludowości. On to na wzgórzu Skansen pod Sztokholmem, zorganizował, jak wiadomo, pierwsze muzeum tego typu. On też zgromadził z całego kraju charakterystyczne dla różnych okolic Szwecji zabudowania zabytkowe i zgrupował je w zwarte kompleksy. Poza samym przekazywaniem ginać przeszłości i kultury ludowej, w postaci możliwie bezpośredniej i wierniej, równie ważnym dla niego celem było wzbudzenie umiłowania i szacunku dla kultury ludowej ludu szwedzkiego. Muzeum skansenowskie stało się podniętą dla mnóstwa naśladowców dokonanych w różnych krajach.

Niewiele było prób przeszczenia muzeum typu skansenowskiego na grunt polski, a wszystkie w skali bardzo niewielkiej. Głównym stało się swego czasu Muzeum Wdzydzkie, na Kaszubach. Założył je w 1906 r. wielki fanatyk kaszubszczyzny Gulgowski. Zakupił on „checz” kaszubską i w niej urządził muzeum etnograficzne. Zbiory te, niestety, spłonęły jeszcze przed wojną. Inna próba był niewielki zbiór, skompletowany przez chłopca, analfabeta, niejakiego Korpianika w Płoskiem koło Jaworowa na Podkarpaciu. Wspomnieć należy o sporadycznych wypadkach przeniesienia starego, śląskiego kościółka do Bytomia, oraz o zbiorze typu skansenowskiego doc. dr. Adama Chętnika w Nowogrodzie nad Narwią, zniszczonego całkowicie w czasie obecnej wojny. Wszystkie te próby cechowała pewna połowiczność i skromność w rozwiązywaniu zagadnienia. Najważniejszym osiągnięciem były niewątpliwie zbiory Gulgowskiego i Chętnika, które ujmowały niniejsze zagadnienie od innych daleko wszechstronniej i w skali nierównie głębszej. Przyczyniły się one w wybitnej mierze do podtrzymania kaszubskiej i kurpiowskiej twórczości ludowej wśród swego regionu oraz do popularyzacji na zewnątrz motywów kaszubskich i kurpiowskich.

Urządzenie wycieczki do omawianego Olsztynka nie nastarcza żadnych trudności komunikacyjnych, dzięki istnieniu doskonałego połączenia kolejowego. Samo „mu-

zeum wiejskie” leży w niewielkim, około jednokilometrowym oddaleniu od stacji kolejowej. Miasto Olsztynek stanowi dogodnie miejsce wyjściowe dla wycieczek w kierunku poboju grunwaldzkiego z 1410 roku i tym samym leży na trasie prowadzącej do historycznego Grunwaldu.



Spichlerze mazurskie

Już w samym Olsztynku rysuje się zdaleka sylwetka drewnianego, ludowego kościółka. Jest to jeden z zachowanych obiektów i stanowi zdecydowanie przeciwnieństwo do otaczających nas tynkowanych i krytych czerwonych dachówek domów okolicznych osiedli. Kościółek przykuwa nasz wzrok nie tylko tym, że jest wzniesiony i zbudowany na wzgórz, ale i jego interesująca sylwetka posiada wiele analogii, na pierwszy rzut oka, z wiejskimi kościółkami Podkarpacia i Opolszczyzny. Poza tym posiada wiele innych jeszcze cech, świadczących o jego rodzimym charakterze ludowym.

Teren przeznaczony pod „muzeum wiejskie” jest pagórkowaty — „gabaty” jak mawia Mazurzy i typowy dla mazursko-warmińskiego krajobrazu. Zajęty obszar jest rozległy, bo wynosi około 100 ha powierzchni. Od strony północnej przepływa przez jego teren niewielki strumyk pod nazwą Jemiola. Ta część rejonu nadaje się wyśmienicie do spacerowania, dla uzyskania, dla strawa wodnego, w celu urozmaicenia przyszłego krajobrazu. Utworzenie tu stawu umożliwiłoby, by urządzenie pokazu flory bagiennej i wodnej, oraz hodowlę rzadkiego plectwa wodnego, które jest obecnie niemiłosiernie topione na Pojezierzu mazurskim. Po stronie przeciwległej falistości terenowa urozmaiconą jest młododrzewiem sosnowym. W obecnej chwili panuje tutaj ogólna pustka i tylko trzcina szeleści nad strumieniem.

Przy bliższym podejściu pod wspomniany kościółek, spostrzegamy, że jest nam dobrze znanym obiektem zabytkowym. Stanowi on wierną kopię niewielkiego i chyba ostatniego świadka licznych niegdyś drewnianego, ludowego budownictwa sakralnego na Mazurach. Oryginał

dydaktycznym w najszerszym tego słowa znaczeniu. Z zachowanego stanu można doskonale odczytać zamierzenia „muzeum wiejskiego” w Olsztynku. Niemcom przyświecała myśl utworzenia na wzór muzeum kultury ludowej całego wschodnio-pruskiego obszaru, naturalnie z uwzględnieniem i wyolbrzymieniem niemieckiego czynu. Ta różnorodność nagromadzonego materiału z różnych okolic etnicznych, miała służyć ich tendencyjności w interpretacji kultury ludowej tego terenu. Do rzucenia trzeba, iż myśl utworzenia takiego „ośrodka muzealnego” nie była nowością na terenie wschodnio-pruskim. Do ogrodu zoologicznego w Królewcu przylegało tzw. „Freiluftmuseum”, które posiadało podobny, jeśli nie identyczny co i Olsztynek zakres swego działania. Zgromadzone tam kilka zagrod wiejskich, kościółek i itd. Urządzono go w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, tzn. w okresie 1909 — 1913. Trzeba nawiasowo dodać, że obiekt królewski stanowił w zakresie etnografii wielką okazję do pokozania wielu ciekawych i różnych ośrodków kultury ludowej, wobec krzyżujących się wpływów litewsko-słowiańskich i niemieckich na terytorium byłych Prus Wschodnich.

znajduje się w Rychnowie, w po wiecie ostródzkim i został zbudowany w 1718 roku. Obydwa kościółki, oryginalny i kopia, posiadają osmioboczny rzut poziomy. Ściany ich zbudowane są z sosnowych cieni na tzw. „zdrab” i zawęglony na „jaskółczy ogon”. Do głównego korpusu przylegały z obydwu stron małe przbudówki. Jedna jest przedsionkiem z wejściem, druga zakryta. Wnętrze stanowi również wierną kopię wymienionej świątyni rychnowskiej i posiada te same ławki, empory itp. Płaski, drewniany sufit zdobi ludowe malowidło ze sceną o charakterze biblijnym. Na ścianach namalowano postacie apostołów. Odstępstwo od oryginału stanowi autentyczny ołtarz, w typie ludowego baroku, pochodzącym z nieistniejącego już obecnie, bo rozebranego w 1894 r. kościółka w Wielkim Różnisku w powiecie piskim. Nawiasowo nadmienić należy, że kościółek w Wielkim Różnisku był jedynym przykładem kościelnego budownictwa ludowego, pochodzącego jeszcze z XVI wieku i tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi zawnieszczenia swego ocalenia z nawałnicy z 1656 roku.

Tuż obok kościółka zbudowano dzwonnice. Jest to lekko ku górze zwężająca się wieża, uwieńczona smukłym osmiobocznym ostrosłupem, krytym trzcina i zakończona chorągiewką. Jej kształt jest analogiczny do podobnej ze wsi Mańki w powiecie ostródzkim. Złączenie elementów pochodzących z dwóch różnych miejscowości stwarza tutaj udaną próbę i harmonijną całość, która czyni z niej analogię z budownictwem ludowym Podkarpacia i Opolszczyzny. Kościółek otacza niskie, z polnych kamieni zbudowane, ogrodzenie. W obrębie ogrodzenia mieści się winien wedle przyjętego zwyczaju, wiejski cmentarz.

W pobliżu opisanego obiektu stoją dwie chaty, pochodzące z powiatu pasieckiego, oraz niewielki wiatrak, typowy dla powiatów nadbałtyckich. Na obszarze „muzeum wiejskiego” przeznaczony jest również zakątek dla prehistorii. Reprezentują go groby skerzyńskie i kurhan z okresu brązu. Służność takiego połączenia jest oczywista i może się przysłużyć w pełni do wyjaśnienia wielu zjawisk folklorystycznych, występujących na terytorium warmińsko-mazurskim.

Odrębną grupę stanowią dwa niewielkie spichlerzyki oraz kuźnia ludowa z okolic Pastęka. Poza wyżej wymienionymi obiektami widać ślady jeszcze po innych zabytkach, które spłonęły całkowicie podczas działań wojennych. W następnym etapie dochodzimy do grupy zabudowań wiejskich, nie posiadających dla nas bezpośredniej wartości. Kompleks tych zabudowań wywodzi się z części etnicznie litewskiej byłych Prus Wschodnich. Na wspomnianych przykładach widzimy wyraźnie, że istniejące pokrewieństwo litewsko-słowiańskie, cechujące budownictwo ludowe byłego obszaru pruskiego. Obiekty te ze stanowiska porównawczego, z tym materiałem oddać mogą specjalności znaczne usługi, a także mogą służyć celom

dydaktycznym w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Z zachowanego stanu można doskonale odczytać zamierzenia „muzeum wiejskiego” w Olsztynku. Niemcom przyświecała myśl utworzenia na wzór muzeum kultury ludowej całego wschodnio-pruskiego obszaru, naturalnie z uwzględnieniem i wyolbrzymieniem niemieckiego czynu. Ta różnorodność nagromadzonego materiału z różnych okolic etnicznych, miała służyć ich tendencyjności w interpretacji kultury ludowej tego terenu. Do rzucenia trzeba, iż myśl utworzenia takiego „ośrodka muzealnego” nie była nowością na terenie wschodnio-pruskim. Do ogrodu zoologicznego w Królewcu przylegało tzw. „Freiluftmuseum”, które posiadało podobny, jeśli nie identyczny co i Olsztynek zakres swego działania. Zgromadzone tam kilka zagrod wiejskich, kościółek i itd. Urządzono go w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, tzn. w okresie 1909 — 1913. Trzeba nawiasowo dodać, że obiekt królewski stanowił w zakresie etnografii wielką okazję do pokozania wielu ciekawych i różnych ośrodków kultury ludowej, wobec krzyżujących się wpływów litewsko-słowiańskich i niemieckich na terytorium byłych Prus Wschodnich.



Szopa

Fakt samego istnienia opisanego wyżej obiektu o tak znacznej przestrzeni, przeznaczonego na typ nowoczesnego muzeum etnograficznego, zmusza nas do decyzji i do podjęcia kroków w celu wypracowania ekspozycji regionalnej według nowoczesnych zasad muzealnictwa. Teren jest w zasadzie mało zabudowany, nie stanowi przeto żadnej zapory ani też nie narzuca nam żadnej obecnej koncepcji. Jest on w tej chwili niczyj, t. j. żadna instytucja kulturalna z głębi kraju nie wystąpiła ani z projektem jego urządzenia, ani nie postarała się o definitywne jego zabezpieczenie i ochronę przed dalszym niszczeniem. Został ten obiekt dosłownie „odkryty” przez pracowników naukowych Muzeum Mazurskiego z Olsztyna.

Nowa rzeczywistość, jaka zaistniała przez przywrócenie nam ziem warmińsko-mazurskich zmusza do nieodwołalnego zajęcia się tym obiektem i utworzenia tutaj, na tej ziemi muzeum, reprezentującego elementy etniczne polskie. Pełniałoby to teren jest wyjątkowo atrakcyjny i przyciągałby zawsze liczne rzesze turystów, ale sam urok krajobrazowy Pojezierza mazurskiego to za mało dla czasów dzisiejszych i wymagają współczesnej turystyki, która winna też i kształcić szerokie rzesze turystów w sensie kultu-



Kościół

ralnym. Należy uwzględnić przede wszystkim fakt zrośnięcia ludu z głębią i uwidocznić powinowactwa i łączności tych elementów kulturalnych na całym polskim obszarze etnograficznym za pośrednictwem „muzeum wiejskiego” z Olsztynka. Narzucają się pewne wnioski i wytyczne, które mogłyby służyć nie tylko regionowi mazurskiemu, ale całej Polsce. Samo postanowienie odbudowania i urządzenia muzeum zmusza do powzięcia planu, opracowanego wszechstronnie, z uwzględnieniem działy prehistorycznego, etnograficznego, przyrodniczego. Tak pomyślany zespół zagadnień stanowiłby u wrót pola grunwaldzkiego swoisty rezerwat, w którym mieściłby się eksponat pod kątem dydaktycznym, tak zabiegające się w gruncie rzeczy, wyżej wymienionych gałęzi wiedzy. Dział przyrodniczy stanowił

Powierzchnia terenowa ma wielkie dane do takiego rozplanowania, którym poszczególne zespoły tworzyć mogłyby zamknięte całości, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Każda zagroda była wyposażona w kompletne zespoły wytwórczości ludowej aż do najdrobniejszych szczegółów. W zespole tym nie powinno zabraknąć zagrody rybackiej, chaty wiejskiej z różnych okolic, kościółka, kapliczek, figur przydrożnych i rozstajnych, cmentarza itd. Do działy prehistorycznego mogłaby dołączyć spotykane na tym terenie wczesnohistoryczne tzw. „bazy kamienne”, które są pewną osłobliwością terytorium mazurskiego.

Z góry należałoby zaprojektować zabudowania, przeznaczone do widowisk i obrzędów ludowych, w których odbywałyby się festiwale i inne ludowe przedstawienia. Muzeum to stanowiłoby żywą instytucję i byłoby ogromnie pomocne przy organizowaniu konkursów teatralnych i widowisk.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

O ludowy mecenat sztuki

Od projektu do realizacji zwykła droga bywa daleka. Dlatego też nie widzimy jeszcze konkretnych zarysów wokół inicjatyw, którą podjął jeszcze w roku 1945 teoretyk sztuki i krytyk Konrad Winkler, i którą przyjął Okręgowa Komisja Związków Zawodowych w Krakowie w dniu 24 września 1945 jako swój postulat do CKZZ. Inicjatywa ta szła w kierunku stworzenia t. zw. przez Winklera „ludowego mecenatu sztuki”. Sprawa jest prosta. Sztuka bez opieki i materialnego poparcia nie będzie się rozwijała. Nie jest materialnie dotychczas samowystarczająca. W dziełach swych korzystała zawsze z mecenatu albo panujących jednostek, albo panujących warstw, które poza szerszym mecenatem wydawały indywidualnych protektorów i opiekunów artystów. Sytuacja się nie zmieniła. Sztuka pomocy tej i opieki potrzebuje nadal. Potrzebuje jej, żeby istnieć i rozwijać się, potrzebuje jej tym więcej, żeby się rozpowszechnić, żeby wchodzić w masę. Słuszne jest zatem, by warstwy ludowe ująwszy w ręce władzę, przejęły razem z nią i patronat sztuk pięknych.

Konrad Winkler dał temu projektowi krótką, lecz wyraźną podbudowę teoretyczną i dał mu równocześnie zarys ram organizacyjnych, form, w jakich rzecz powinna być wprowadzona w życie.

Uzasadniając swój pomysł w „Twórczości” w styczniu 1946 r. pisał: „Dzisiejsza rzeczywistość

WYŻSZEJ SZKOŁY W OLSZTYNIE
Katalog. Nr. 97

012 60195 02015



Ocalała zagroda

Zespoły drzew i przeróżnej roślinności ze specjalnym uwzględnieniem roślin leczniczych, obrzędowych, pokarmowych, technicznych oraz relikwów spotykanych na tym terenie, a podlegających ochronie przyrody, stanowiłyby ośrodek o wielkim znaczeniu dydaktycznym dla młodzieży i turystów, pragnących się zapoznać z osłobliwościami ziemi mazurskiej. Zgrupowane zabudowania wiejskie, ocalone na tym terenie i będące w zaniku miałyby w tym otoczeniu właściwą wymowę.

Ekspozycja ta nie ograniczała by się tylko do województwa olsztyńskiego ale obejmowała by Powiśle i tereny mazowieckie oraz przybrzeżne wraz z Kurpiami, Podlasie i Suwalszczyzną. Takie ujęcie ekspozycji pokazałoby by naocznie ograniczoną przynależność do całości polskiej kultury ludowej terenów warmińsko-mazurskich jako dalsze rozprzestrzenienie się na północ polskiej kultury ludowej.

W zespole tym nie powinno zabraknąć zagrody rybackiej, chaty wiejskiej z różnych okolic, kościółka, kapliczek, figur przydrożnych i rozstajnych, cmentarza itd. Do działy prehistorycznego mogłaby dołączyć spotykane na tym terenie wczesnohistoryczne tzw. „bazy kamienne”, które są pewną osłobliwością terytorium mazurskiego.

Z góry należałoby zaprojektować zabudowania, przeznaczone do widowisk i obrzędów ludowych, w których odbywałyby się festiwale i inne ludowe przedstawienia. Muzeum to stanowiłoby żywą instytucję i byłoby ogromnie pomocne przy organizowaniu konkursów teatralnych i widowisk.

wisk ludowych. Poza tymi implemencjami istniałaby tu doborowa biblioteka etnograficzna, archiwum klisz i archiwum muzycznych, inne pomieszczenia przeznaczone by były na świetlice i odczytanie, wystawy ludowe przemysłu artystycznego wraz z kioskami handlowymi. Muzeum to stanowiłoby ośrodek emanujący z siebie pokrewne zagadnienia o znaczeniu wychowawczym i odgrywało by rolę inicjatora i propagatora ludowości. Znaczenie społeczne takiego ośrodka jest całkiem oczywiste i doniosłe. Natomiast sama koncepcja urządzenia tego obiektu wymagała by w swym początku szczegółowego opracowania przez specjalistów jak prehistorię, etnografię i architekturę.

Powiązanie tradycji poboju grunwaldzkiego z emanacją polskiej kultury ludowej w jej specyficznym aspekcie mazursko-warmińsko-kurpiowskim - podlaskim, to niewątpliwie żywy pomysł nad zyma duchem wojenne-go germanizmu, Tryskająca energią i zdrowiem moralnym młodzieży ludowa, zgrupowana na festiwalach śpiewaczych i teatralnych, pochodząca z Polski północno-wschodniej, to niewątpliwie dowód ostatecznego wypędzenia Smętki z tych regionów. Tak pomyślano muzeum typu skansenowskiego byłoby wartością nieprzemijającą. Organizacyjnie początkowo obiekt ten powinien stanowić filię Muzeum Mazurskiego z Olsztyna, gdyż jest to jedyna placówka mająca odpowiednie zasoby eksponatów etnograficznych z ziem warmińsko-mazurskich. Z biegiem czasu należałoby też ośrodek całkowicie usamodzielniać, Muzeum typu skansenowskiego na Mazurach i Warmii przyczyniło by się do zapalenia istniejącej tu łuki kulturalnej na północno-wschodnich obszarach naszego państwa i świadczyłoby dobitnie, że los tych ziem jest również nam drogi jak całego Nadodrza.

Hieronim Skurpski



Mazurski krzyż cmentarny

wy jest siłą rzeczy w tym początkowym okresie organizowania się państwa i odbudowy zniszczonego wojennymi niewystarczającego i na niektórych odcinkach mocno szwankuje.

TEORIA I PRAKTYKA

Do tego punktu argumentacja inicjatora nie budzi zastrzeżeń. Jest tak oczywista i prosta, że nawet nikomu nie wydawało się potrzebne podjęcie dalszych na ten temat rozważań. Wydaje się, jak by ci, którzy z projektami tego autora zapoznali się, przyjęli je jako zupełnie słuszne do wiadomości i czekali spokojnie na ich realizację.

Winkler był tym chyba trochę speszony. Brak rezonansu musiał go trochę, ze względu na doniosłość samego zagadnienia zaskoczyć, a w końcu zmusił go do podjęcia dalszych rozważań, dalszego przypominania, uzasadniania i konkretyzowania pomysłu.

I w tym drugim etapie swojej działalności propagatorskiej na rzecz projektu uległ pewnym omyłkom. Konkretyzując plan realizacyjny mecenatu nie ustrzegł się niejasności, niedokładności i ujęć zbyt indywidualnych, czego dowodem jest jego ostatni w tej sprawie artykuł w „Nowinach Literackich”.

Jeśli więc milczano dotychczas na temat jego pomysłu, uznając jego słuszność i celowość, nie można bez dyskusji pozostawić tego, (Ciąg dalszy na stronie 2)

O ludowy mecenat sztuki

(Dokończenie ze strony 1)

co autor projektu rzuca jako plan wprowadzenia go w życie.

Plan ten zawiera wiele niejasności. Mowa jest w nim o jakichś premiach i nagrodach dla ludzi, skupiających się w świetlicach, domach kultury, klubach i czytelnich. Za co mają być te nagrody, nie wiemy. Domyślamy się, że mają być pieniężne, bo Winkler projektuje, by zamienić, no je na obrazy i rzeźby. W ten sposób sztuka dotrze pod dach domu człowieka pracy. Nazywa to „konkretnym upiększeniem i upowszechnieniem sztuki”.

W tym tkwi zdaje się pierwsza omyłka. Nie wydaje się bowiem celowym doprowadzenie w pierwszym etapie działania mecenatu do tego, by w niektórych domach wisiały dobre obrazy lub stały dobre rzeźby najcenniejszej po jednym egzemplarzu. Nazywalibyśmy to nie upiększeniem lecz rozdrobnianiem sztuki, które nie przyniesie rezultatów tym więcej, że nie ulega dla mnie wątpliwości, że stopień uświadomienia artystycznego w zakresie sztuki plastycznej jest u nas przeciętnie tak niski, że rozprawdowanie w ten sposób dzieła nie spotykają się z przychylnym przyjęciem u odbiorczych i u ich bezpośredniego otoczenia. Nie wierzę w zachwyt robotnika, a nawet przeciętnego Inteligenta obdarzonego obrazem Staszewskiego czy rzeźbą Strzyżewskiego. Konia z rzedem, jeśli uznają „Ucieczkę” pierwszego z wymienionych artystów, lub „Matkę” drugiego z nich za dzieło sztuki wybitnej, jeśli się nim zachwycą. Ten sam los to samo przyjęcie spotka 90% tych obrazów i rzeźb, które przyniosą, nieznające salony wystawowe, natomiast jestem przekonany, że z uznaniem spotkałyby się Matejko i jego uczniowie. To malarstwo już zostało przyswojone sobie przez szersze masy i rozpiętość pomiędzy malarstwem epoki Matejki, a malarstwem dzisiejszym należy mierzyć stopień późniejszego artystycznego społeczeństwa i nawet tej jego części (mówiąc do siebie ogólnie), która uważa się za tw. inteligencję.

Alle zbliżenie ludzi do sztuk plastycznych jest koniecznością, jest pilną potrzebą kulturalną. Trzeba więc nawiązać ten kontakt, ale raczej przez gromadzenie obrazów i rzeźb w mniejszych lub większych zespołach. Zespoły te mogą znaleźć pomieszczenie zarówno w pomniejszych muzeach czy galeriach rozproszonych po kraju, jak i w domach kultury, domach związkowych, świetlicach, czytelnich i bibliotekach. Niech będą to miejsca, gdzie człowiek z ulicy i od warsztatu będzie się stykał często i dostatecznie bezpośrednio z malarstwem i rzeźbą. Będzie się z nią oswajał i będzie się jej po prostu uczył. Niech znikną bohomyzmy i oleodruki, tandeta i chamstwo artystyczne z biur i urzędów, z miejsc gdzie schodzą się tłumnie ludzie na konferencje, obrady, zebrania, wieczerze, zabawy i rozrywki. Niech miejsca te zajmą oryginalne dzieła artystów. Wtedy znacznie się dopiero wytworzy i rozwinie właściwy stosunek do sztuki, wtedy dopiero zacznie się rodzić pragnienie posiadania takich rzeczy na własność. Równoległe z tym musiałaby iść pewna akcja uświadamiania i kształcąca, o której formach i sposobach trudno tutaj snuć rozważania.

W każdym razie projekt zamknięcia dzieł sztuki w klatkach czterech ścian domów prywatnych wydaje się zupełnie nieudany i ma tylko jedno uzasadnienie: żeby tego sprzeciwić jak najwięcej. Modyfikacja powyżej zaproponowana celu tego bynajmniej nie przekreśla.

STOSUNEK OSIEM DO DWÓCH

Winkler, którego osobiste zainteresowania skupiają się wyłącznie na sztukach plastycznych, ma przy projektowaniu mecenatu ludowego na myśli przede wszystkim rozwój i upowszechnienie malarstwa sztalugowego i rzeźby. Konkretnie na ten cel przeznaczają z kilkudziesięciu milionów złotych, jakie mają dać rocznie składki członków związków zawodowych i Samopocy Chłopskiej na cele artystyczne, 70 do 80% funduszu. Resztę w wysokości 20 do 30% przeznaczają po 10% (lub po 6,6%) na literaturę, teatr i muzykę.

I tu leży druga zasadnicza omyłka. Projektodawca uszuwa bowiem na szary koniec tego rodzaju sztuki, które mają charakter

ter najbardziej powszechny a zatem dysponują największą siłą społecznego oddziaływania. Oddaje się wrażenie, że autor projektu pragnie zaczynać dzieło dzielenia dóbr kulturalnych od końca, że pragnie zaatakować masy rodzajem sztuki, który jest w dzisiejszym stanie rzeczy masom jeszcze najdalszy, najmniej zrozumiały, z którym one najmniej obcuje. Nie można temu stanowisku odmówić pewnej słuszności, ale należy zakwestionować jego celowość w tej formie i jego żywiołość. Literatura i książka dają przede wszystkim najogólniejszą podbudowę kulturalną, najbardziej zasadnicze przygotowanie człowieka do obcowania z pięknem zawartym w sztuce i dlatego w planie mecenatu musi iść na miejscu, wydaje mi się, pierwszym.

Przy tych uwagach o stosunku mecenatu do literatury i książki znów widzimy w planach Winklera liczne niejasności i niepraktyczności. Przede wszystkim jest znów wysuwane na pierwsze miejsce kolekcjonerstwa prywatnego, sprawy bibliotek indywidualnych, podczas gdy naszą najpilniejszą potrzebą jest jak najgłębsza sieć dobrze postawionych, mniejszych i większych księgozbiorów publicznych czy półpublicznych ograniczonych od pewnych grup i środowisk. Znowu jakieś mętne sformułowanie spraw premiowania połączonego z subwencjonowaniem wydawnictw z funduszy mecenatu i pokrywaniem w jakimś procentie kosztów zakupu książki przez pojedynczego odbiorcę. Tego planu, przynajmniej, nie rozumiem zupełnie i dlatego wydaje mi się zbyt skomplikowany w przeprowadzeniu, nie mówiąc już o jego celowości.

Zadaniem mecenatu ludowego powinno być wprowadzenie do tych, którzy tworzą jego fundusz, dobrej i taniej książki w możliwie największych nakładach, oparty na realnych obliczeniach. Może nie byłoby tu na razie celowe tworzenie specjalnego wydawnictwa, być może, że współpraca z wielkimi wydawnictwami spółdzielczymi na początek byłaby wystarczająca, ale to jest zasada. I tu jest miejsce na plan obniżki o niezmierzonych korzyściach kulturalnych na przyszłość, korzystać z podwójnych: dla twórcy i jego odbiorcy. W tym planie pomimo położenie głównego nacisku na biblioteki, odbiorca prywatny, uprzywilejowany ceną książki, musi jednak też znaleźć swoje miejsce.

Jakże autor projektu obok literatury spostrzegł teatr, jakże nie docenił jego społecznej roli w skali kształcącej, wychowawczej, rozwijającej poczucie i rozumienie piękna również i w zakresie plastyki (strona dekoracyjna). Jakże łatwo zapomina o anomalii naszych czasów, że teatry nie państwowe, żeby żyć, sprzedają się za bezcen na przedstawieniach „zamiennych”, stwarzając przez to kategorię widza teatralnego drugiej klasy i szkodzić z natury rzeczy artystycznej stronie pracy teatralnej. Tu jest właśnie miejsce dla mecenatu ludowego: wesprzeć jak najwydatniej z uwzględnieniem konkretnych wymagań teatru, które dobrze i celowo pracują dla szerokiej publiczności, dopłacać im pewne kwoty do przedstawień dla ludzi uczestniczących swym udziałem finansowym w mecenacie, dać im środki na dobrych aktorów nawet w mniejszych środowiskach, na pełną i artystyczną realizację utworów scenicznych. Ale na to 10 czy 6,6% nie wystarczy.

No i wreszcie muzyka. Autor widocznie nie zdaje sobie sprawy z powszechności zainteresowań muzycznych w masach, z wielkiej ich chłonności muzycznej, z prostego faktu olbrzymiej ilości mniejszych i większych zespołów instrumentalnych i robotniczych orkiestr symfonicznych pozostających a skończonych na kwartałach, z ilości zespołów chóralnych i zarazem ich braków i potrzeb. Nie orientuje się, że garncarz nie do muzyki masowej nie ma kierowników i dyrygentów na odpowiednim poziomie. Że grają i śpiewają wciąż w kółko to samo, czasem rzeczy niezwykle miernej wartości i przeważnie obcego pochodzenia, że opracowania motywów ludowych, jakimi się z takim upodobaniem posługują, są często najgorszego gatunku, że

EDMUND ODORKIEWICZ

Śląskie echa Powstania Styczniowego

Historia budzenia się świadomości narodowej u Ślązaków i ich udziału w walkach o niepodległość zawiera jeszcze wiele luk, których jak najszybciej zapalenie powinno stać się naszą ambicją. Taką luką, oczekującą chociażby na ogólnikowe opracowanie, jest okres Powstania Styczniowego i jego związki ze Śląskiem. Zwraca to uwagę zwłaszcza w pracach obejmujących całokształt dziejów Śląska na tle historii Polski, jak np. w artykule p. Eugeniusza Poniatowskiego pt. „Śląsk walczą o wolność”, zamieszczonym w numerze 16 (73) „Odry”. Choć autor na wstępie zastrzegł, iż „nie posiadamy wyczerpującego opracowania dziejów politycznych Śląska XIX w.”, to jednak niemiło uderza brak jakiegokolwiek wzmianki o śląskich echach Powstania Styczniowego, mimo, że wspomniane były wydarzenia odległejsze jak Konfederacja Barska, Powstanie Listopadowe itd. Rzecz prosta, trudno było by obwiniać o to przeoczenie wyłącznie p. E. Poniatowskiego, bo niewątpliwie przy pisaniu artykułu posługiwał się on wszelkimi dostępnymi, opublikowanymi pracami, a tu głuchym jest o Powstaniu Styczniowym. Natomiast mniej zrozumiała i wybaczalna jest ta luka u prof. K. Piwarskiego, który w swej „Historii Śląska” nie poświęcił ani jednego słowa wypadkom, jakie rozgrywały się na pograniczu Śląska przed 84 laty, a przecież wtedy świadomości narodowa u Ślązaków była już rozbudzona i nie nie usprawiedliwiali by poglądy, że krwawe walki o wolność rodaków za kordonu rosyjskiego nie znalazły tu żadnego oddźwięku. Zarzut ten dotyczy zresztą nie tylko prof. Piwarskiego, lecz i wszystkich innych historyków, którzy nie zadali sobie trudu o stworzenia stosunków, panujących na Śląsku w 1863 roku.

Ponieważ istniejąca — i powtarzam — żenująca luka trzeba jak najszybciej zapłacić, każdy chociażby najogólniejszy materiał o roku 1863 staje się pożyteczny. Dlatego właśnie warto zaznaczyć się ze wspomnieniami A. Oskara Klausmanna, wydawanymi w 1911 r. w Katowicach pt. „Oberschlesien vor 55 Jahren und wie ich es wiederfand”. Klausmann, syn urzędnika kopalnianego, od czwartego roku życia wychowywał się na Śląsku i zna go nieźle; wprawdzie rożniwało się między tymi, którzy w jego młodości wydarzenia opisuje dość chaotycznie, lecz bez wątpliwości podaje je zgodnie z prawdą; tak jak o nich słyszał i jak je widział. Co prawda trudno traktować te materiały jako źródło, zawierają one bowiem sporo wiadomości — jak się mówiło podczas

kierują nimi często ludzie, którzy mają najlepsze chęci, ale bardzo ograniczone możliwości, którzy otepialią najogólniejszy materiał o roku 1863 staje się pożyteczny. Dlatego właśnie warto zaznaczyć się ze wspomnieniami A. Oskara Klausmanna, wydawanymi w 1911 r. w Katowicach pt. „Oberschlesien vor 55 Jahren und wie ich es wiederfand”. Klausmann, syn urzędnika kopalnianego, od czwartego roku życia wychowywał się na Śląsku i zna go nieźle; wprawdzie rożniwało się między tymi, którzy w jego młodości wydarzenia opisuje dość chaotycznie, lecz bez wątpliwości podaje je zgodnie z prawdą; tak jak o nich słyszał i jak je widział. Co prawda trudno traktować te materiały jako źródło, zawierają one bowiem sporo wiadomości — jak się mówiło podczas

SPRAWA WARTA ROZWIĄZ

Te rzucane ogólnie uwagi kwestionujące słuszność planu, w jakim projektodawca pragnąłby widzieć realizację projektu o ludowym mecenacie sztuki, mają jeden tylko cel ściśle praktyczny: spowodować przedyskutowanie problemu, jego wszechstronne oświetlenie ze strony ludu i czynników bezpośrednio zainteresowanych, może nawet ze strony przedstawicieli tych mas pracujących, które dadzą na to swoje nie lekko zapracowane pieniądze. Dyskusja taka jest konieczna. Mecenat jeszcze nie ma. Jeśli się stworzy, na dyskusję będzie już za późno. Od początku trzeba zaczynać z sensem.

Zdzisław Hierowski

okupacji — „i. p. p.”, można jednak wykorzystać je jako ślad do dalszych badań.

Bądź co bądź Klausmann rzuca pewne światło na wydarzenia związane z Powstaniem Styczniowym, a już to samo, że poświęca im w swych pamiętnikach osobny rozdział, świadczy najwyraźniej, że wypadki za kordonem rosyjskim — podobnie jak na innych ziemiach polskich, tak i tutaj — nie były przyjmowane obojętnie, a przeciwnie, że do głębi poruszyły społeczeństwo śląskie i stały się na długi czas osrodkiem powszechnego zainteresowania. Omawiany rozdział nosi tytuł „Die polnische Insurrektion von 1863”, a wydawca ozdobił go piękną winiętą, przedstawiającą oddział kosynierów w marszu z oficerem na koniu na przedzie. Choć autor usiłuje być bezstronnym w swych relacjach, to jednak jako Prusak i urzędnik niemiecki nie potrafił zdobyć się na pełny obiektywizm i nie powstrzymał się od przedstawiania Ślązaków jako zdecydowanych Prusaków, wprawdzie Prusaków mówiących po polsku, ale tylko Prusaków, którym wszelka polskość jest obca. Uwaga ta jest konieczna, aby uwypuklić niezgodność „urzędowej” opinii autora o Ślązakach z opisywanymi faktami, świadczącymi coś wręcz przeciwnego.

Klausmann, który mieszkał wraz z rodzicami na terenie kopalni „Jutrzienka” w Małej Dąbrówce, rozpoczął swoje wspomnienia o Powstaniu 1863 r. opisem spotkania w pierwszych dniach lutego z niemieckim patroliem łańskim, podążającym w stronę ówczesnej granicy między Śląskiem a Kongresówką. Zjawienie się patrolu wywołało wśród ludności wielkie wrażenie, dotychczas bowiem nie widzieli tu wojska poza pojedynczymi żołnierzami, przyjeżdżającymi na krótkie urlopy. Wprawdzie wiadomości o wybuchu powstania w zaborze rosyjskim dotarły na Śląsk już w końcu stycznia, informacje prasowe były jednak tak skąpe, iż nie pozwalały zorientować się w rozwoju wypadków. Przybycie wojska na pogranicze oznaczало, że rozgrywane się w Kongresówce wydarzenia nie pozostają bez wpływu na sytuację na Śląsku, a to tym bardziej podniecało ogólną ciekawość. Źródłem obzermiej-szych wadomości był kupcy przyjeżdżający na Śląsk i podróżni jadący koleją warszawsko-wiedeńską z Kongresówki przez Mysłowice do Austrii.

Według wieści tą drogą kolportowanych, „wielki książę Konstantyn, brat cesarza rosyjskiego Aleksandra II, został w Warszawie, gdzie był namiestnikiem, zamordowany. Polacy zadawali Rosjanom dotkliwie straty, odnieśli tak wielkie sukcesy, że myśleli już nawet o zdobyciu Śląska, który niegdyś do Polski należał”. Tu Klausmann wtrąca swoją uwagę, że „ludność Śląska nie objawiała żadnej sympatii dla powstańców z tamtej strony granicy”, że „górnolazacy uważali się za Prusaków i bynajmniej nie życzyli sobie przejść pod panowanie Polski” oraz, że „obawiano się, iż polscy powstańcy mogą przekroczyć granicę, aby tu ewentualnie uzyskać broń, prowiant, furaz i pieniądze”. Obawy te uzasadnia autor tym, że w 1807 r. polscy żołnierze wkroczyli na Górny Śląsk i proklamowali republikę” oraz że późniejsi polscy partyzanci (Freikorps) pod dowództwem ks. Sułkowskiego

1) Dawniej „Morgenrothgrube”, obecnie nieczynna.

2) Mowa tu o wyprawie por. Trebeckiego, który z rozkazu dowódcy pospolitego ruszenia wojew. krakowskiego, gen. Męcickiego, w końcu grudnia 1806 r. wyruszył na Śląsk dla obrony ludności przed walejącymi żołnierzami pruskimi. Wszedłszy w granice — pisze Trebecki w raporcie — orły (pruskie — red.) kazaliśmy rąbać, a w każdej miejscowości zaleciliśmy spokojność, mówiąc, iż przez nas wkroczenie w Śląsk chcemy obywatelom Śląska prawdziwą spokojność przynieść i ich ubezpieczyć od wszelkich pruskich gwałtowności, gdyż ten kraj nie jest po Odrę pruski, tylko polski!” (według J. Staszewskiego).

3) Gdy z oddziałów partyzanckich ks. Jana Sułkowskiego z Bielska utworzono pułk huzarów, Sułkowski, k. IV, 1807 r. wkroczył na Śląsk i dokonał bezprawnych rewizyj w celu uzupełnienia ekwipunku pułku. 4) Klausmann używa dawnej nazwy rosyjskiej „Sonsowice”.

5) Powstanie zdobył 90.000 rubli, konie, broń i amunicję. 6) Przede wszystkim niewątpliwie ze Śląska. 7) „Zuzig von Mannschaffen”.

8) Marjan Langiewicz był synem lokalno-powstańca z 1830 r. Po ukończeniu szkoły w Trzemesznie studiował we Wrocławiu i Berlinie; po odbyciu rocznej służby w wojsku pruskim otrzymał stopień oficera artylerii; walczył pod Garibaldim we Włoszech, gdzie został odznaczony Krzyżem Wojennym.

9) Właściwie podległ w Genui; przed powstaniem zajmował się zakupem broni; podczas powstania odznaczył się odwagą i wybitnymi zdolnościami jako dowódca.

skiego wdarli się tu i spłądowali Mysłowice i okolice.”

Ta rzekoma obawa przed wkroczeniem Polaków i obojętność, ba, wręcz nawet — zdaniem Klausmanna — niechęć Ślązaków do sprawy polskiej przybierała jednak dość niezwykłą formę — podziwu dla odwagi i odwagi i odwagi powstańców. Na Śląsku „opowiadano w 1863 r. dziwy o dzielności polskich kosynierów” — stwierdza autor i dalej opisuje szeroko, jak to „Polacy powrócili znowu do kos na sztorc obdanych. Insurrekcja Styczniowa była widocznie przedmiotem ciągłych i niekończących się rozmów wśród Ślązaków, bo Klausmann wylicza szereg frapujących tematów, choćby (nie bez zdziwienia i podziwu zarazem) używanie przez powstańców armat z... drzewa.

W międzyczasie walki przeniosły się na pogranicze Śląska i Kongresówki.

Dnia 7 lutego nad ranem na odcinku Szopienice — Mysłowice doszło do potyczki między strażami pruskimi a powstańcami, którzy w nocy przekroczyli granicę i dotarli do najbliższej budki drożnika przy torze kolei warszawsko-wiedeńskiej. Po wymianie strzałów z pruskimi patrolami i po zorientowaniu się w terenie, powstańcy wycofali się z powrotem do Zagłębia.

Wydarzenie to całkowicie dezorganizowało życie na pograniczu. Na raną zmianę przyszło do kopalni bardzo mało robotników, natomiast przed południem tłumy Ślązaków zgromadziły się koło mostu kolejowego na Brynów, skąd widać było dym unoszący się nad zgłiszczami dworca w Sosnowcu.” Klausmann wyjaśnia, że powstańcy zastawili w Dąbrowie Górniczej specjalny podział, kazali obsłuzie stacyjnej zasygnalizować go jak wszystkie inne pociągi i pojechali do Sosnowca. Około godz. 4 rano pociąg przybył na dworzec sosnowiecki, obsadzony przez 50 strażników granicznych, stanowiących część garnizonu. Powstańcy nie spodziani, brawurowym atakiem rozgromili załogę, skonfiskowali w urzędzie celnym pieniądze i ściągawszy patrol, wysłane przed tym w stronę granicy ps. pruskiej, odjechali pociągiem.”

Z kolejności wydarzeń, opisanych w pamiętniku, wynikało by, że oddział powstańcy, który nad ranem przekroczył granicę śląską, po wycofaniu się uderzył na załogę rosyjską w Sosnowcu i zadł ciężkie straty w zabitych i rannych. Wydaje się, iż wiadomości ta jest o tyle nieścisła, że oddział ten stanowił prawdopodobnie część grupy powstańczej, która zaatakowała dworzec i miasto. Inną jednostką powstańczą stoczyła krótką potyczkę z oddziałami rosyjskiej straży granicznej tuż w pobliżu Mysłowic, gdzie granica dochodziła prawie do samego miasta.

Wiele miejsca poświęca Klausmann przedstawieniu paniki, jaka zapanowała wśród straży granicznej na skutek ataków powstańców. Choć siły rosyjskie były dość znaczne, bo granicę zamykały aż trzy kordony, żołnierze opowani paniką i przedocześnie nie mający ochoty umierać za cara, masowo dezertowali i oddawali się do niewoli Prusakom. Wojska pruskie rozbrajały zbiegów i odsyłały pod konwojem do Katowic, gdzie internowano ich wraz z innymi żołnierzami, którzy przeszli granicę do Siemianowic. Po 3 dniowym biwakowaniu pod gołym niebem internowani zostali przetransportowani via Bytom i Tarnowskie Góry w okolice Lublińca i tam przekazani władzom rosyjskim.

Z powodu tych incydentów Prusacy obsadzili granicę silnymi oddziałami wojska. Pelnitą tam służbę swadrony 2 p. ułanów, „brunatnych”, „zielonych” huzarów oraz pułki piechoty z Nysy i Koźla. Patroly kawalerijskie i piechoty w dzień i w nocy bez przerwy krążyły w pasie przygranicznym, w każdym domu w pobliżu granicy była zakwaterowana piechota. Stan taki trwał półtora roku.

Prusy — pisze Klausmann — obsadzili teraz specjalnie mocno polską granicę, aby przysłużyć się Rosjanom i odebrać powstańcom możliwość otrzymywania z Prus koni, broni i amunicji oraz werbowania żołnierzy”. Mimo pruskiej pomocy nie przedk Rosjanie dali sobie radę z powstańcami.”

A dalej: „Głównodowodzącym polskich powstańców był Langiewicz (opowiadam, że był to dawny pruski oficer artylerii, na zwiskiem Lange). Odnaczył się on nagłymi i śmiałymi napadami na Rosjan; odbił im brań i armaty, a nieliczne pozostałe garnizony rosyjskie zmuszał do utrzymania ciągłego pogotowia. Adiantament Langiewicza” była



Tak według starego atlasu z r. 1736 przedstawiały się ziemie pomorskie

DONIOSŁE rozporządzenie, jakie ukazało się w tych dniach, mówi o konieczności stosowania przez wojewodów wysokich i dotkliwych kar wobec tych wszystkich, którzy krzywdzą autochtonów. Sam fakt ukazania się takiego rozporządzenia należy raczej do rzeczy smutnych. Wielokrotnie już podkreślano urzędowo, że nie ścierpi się krzywdzenia autochtonów i traktowania ich jako obywateli drugiej klasy. Wielokrotnie prasa umawiała się w poszczególnych wypadkach za krzywdzonymi. Pomimo to pewne społeczne jednostki uprawiały dalej swoją „osobistą” politykę wobec autochtonów, politykę nie mającą nic wspólnego ani z poczuciem obowiązków obywatelskich ani nawet z polskością.

Alle Rząd wiedział o wszystkich. Wiedział, że krzywdą wyrządzaną rodzimej ludności polskiej jest krzywdą obracającą się przeciwko państwu i jego władzom naczelnym. Rozumiejąc dobrze interes państwowy na Ziemiach Odzyskanych, Rząd wydał rozporządzenie, które ma położyć kres wszystkim istniejącym jeszcze niedociągnięciom i krzywdom wobec polskiej ludności rodzimej.

I choć konieczność wydania takiego rozporządzenia nazwalibyśmy faktem smutnym, to z drugiej strony faktem radosnym jest m o c n a w o l a Rządu do ostatecznego uregulowania tej sprawy, której oddźwięk, zwłaszcza na niezwykłym nam terenie Niemiec, bywa głośny i prowokacyjny.

Napiętnujemy tutaj tych wszystkich Polaków, którzy przybyli na Ziemię Odzyskaną i wielkie dzieło zbierania się z pozostałą na tych terenach ludnością polską rozpoczęli od zabierania jej majątku, szczykanowania i wysmiwania jej, a nawet wysiedlania jej poza granicę ojczyzny jako rzekomych niepolaków. Wierzymy, że ta próba Rządu ostatecznego załatwienia stosunków ludnościowych na Ziemiach Odzyskanych w drodze prawnej będzie drogą ostatnią.

Paweł Kupke

Spotkałem ludzi, tom się do nich przylączył...
— Jakich ludzi? — badał Miłosz marszcząc gniewnie brwi.
— Obey... Po naszymu nie gadają... Nie wiem, jak się zowia... Mają grody tam na zachód... Wielkie grody... Kaciny... W kacinach bogi z drzewa rzezane... U tych obcych za smerde, za niewolnika byłem... I przydziewicz od nich mam...

— Czego one chcą?
— Naszych z grodu wyżęną i samym w nim się...
Pono już kiedyś napadały ale ich nasi odparli... Teraz znów chcą... Powiadają, że jak tu na jeziorze siedzą, to cała dziedzina do nich należeć będzie...
— Wiera... Niedoczekanie przeklętych!
— Powiadają, czego chcą od nas? — niecierpliwie się myśliwiec.

Już rzekłem, że chcą gród zabrać. W niewolniki wszystkich was obrócić. Samym panować. Na tych wiecach, co zwolowały, uchwalili, że już tym razem na darmo nie pójdą. Dlatego wysłali wiosną swoich i mnie z nimi na przewodnika, żeby przepatrzyli dobre miejsce i rozpoznali, kiedy najlepiej uderzyć.
— I ty, ty ich prowadziłeś! — przerwał Miłosz z gniewem i pogardą.

(Zofia Kossak: Gród nad jeziorem)

jego narzeczona, Polka Pustowoit, która mu towarzyszyła w męskim przebraniu. Wszędzie na Górnym Śląsku były portrety dzielnego wodza Polaków i jego kobiecego adiutanta, oraz barwne obrazy sławie bohaterstwa czynny powstańców” — (podkreślenia red.).

Ostatnie zdanie cytowanego fragmentu pamiętników Klausmanna najlepiej charakteryzuje stosunek ludu śląskiego do Powstania Styczniowego. Już sam fakt, że „wszędzie na G. Śląsku były portrety dzielnego wodza Polaków”, zasługuje na uwzględnienie w zarysie walk Śląska o wolność, bo właśnie więz uczuciowa stanowiła najtrwalszą spójność narodu polskiego, żyjącego pod trzema zaborami.

A przecież niepodobna pominąć także czynnej pomocy udzielanej powstańcom przez Ślązaków; zdobywanie broni, amunicji, żywności i zasobów pieniężnych oraz przemysł tego wszystkiego przez granicę nie mogło odbywać się bez udziału miejscowej ludności. Wspomniany zaś pruski „Zuzig von Mannschaffen”, „Zuzig von Mannschaffen” nie znaczy nic innego lub przynajmniej może się domyślać, że wielu synów ziemi śląskiej zaciągnęło się ochotniczo do bratnich szeregów, aby ramie przy ramieniu z rodakami z innych

Edmund Odorkiewicz
9) Znanie są już nazwiska niektórych ochotników-Ślązaków.

Na skutek ograniczeń papierowych „Odra” będzie się przez pewien czas ukazywała w zmniejszonej objętości, za co Czytelników przepraszamy.

Redakcja



Poniżej cytowany artykuł jest polemiką Waltera Kolbenhoffa z tezami „czystej sztuki” Wolfriedricha Schnurrego. Mimowolnie przypominają się pewne wypowiedzi egzystencjalisty Sartre'a w artykule „Pisarz i jego epoka” (patrz „Odra” nr 14-15).

Berlin-Tempelhof (str. amer.)

W 1 numerze drugiego rocznika „Horizontu” zamieścił Wolfriedrich Schnurre artykuł („Sztuka i artysta. Późnoscasowe rozważania”), w którym wyraża poglądy, które nie mogą pozostać bez odpowiedzi.

Nie kłómy się długo o definicję sztuki, jaką daje Schnurre. Ale o powołaniu artysty, o jego pozycji w społeczeństwie i czasie, w którym żyje, można powiedzieć dużo takiego, co od naprawdę bardzo późnoscasowych rozważań Schnurrego zdecydowanie odbiega. Radzi on „tym, którzy przysiadają” (den Kommanden), żeby „nieomylnie wsłuchiwali się we własne wnętrze”, jeżeli czują w sobie powołanie artysty.

Co robią Niemcy

Kto jest syty a kto głodny – O trzydziestu projektach naruszenia pokoju – Będzie wojna, bo...



Znana niemiecka tancerka Mary Wigman, której po roku 1936 zabroniono w Niemczech dalszej działalności artystycznej, ukazała się znowu na deskach estrad tanecznych. Na zdjęciu Glucka „Orfeusz i Eurydyka” w Lipsku, w inscenizacji Mary Wigman

NARZEKANIE na głód w Niemczech, choć tak częste i powszechne wśród Niemców, nie zawsze jest uzasadnione. Prasa niemiecka raz po raz przynosi wiadomości, świadczące o przestępstwach żywnościowych, dzięki którym aprowizacja Niemców szwankuje. DENA donosiła ostatnio z Bambergu, że przygotowane do rozdania 1000 kg. sera uległo zepsuciu, gdyż sera tego nie można było rozdać ze względu na zmniejszenie racji. Z Turynii przyszła wieść o zaarrestowaniu i skazaniu na karę więzienia wszystkich mieszkańców żeńskich i męskich wsi Ruckersdorf pod Gera za nielegalny ubiór i magazynowanie środków żywnościowych. Również i miejscowy burmistrz skazany został z tej okazji na trzy lata więzienia. W mieście Hannover-Minden wszyscy katolicy otrzymali, jak donosi DENA z Kassel, po pół funta tłuszczu ze specjalnego daru Papieża. Ponieważ — informuje dalej DENA — jest to już trzeci w tym roku niedziela, w której przydział, większa część wydanego tłuszczu znalazła się na czarnym rynku, gdzie zamieniano go na owoce południowe i czekoladę. — Takich wydarzeń i faktów wynotować możemy z prasy niemieckiej bardzo wiele a wszystkie one podważają argumentację niemiecką o głodzie.

GŁÓD i brak żywności wysuwany bywa przez publicystów i polityków niemieckich jako główny argument w kampanii przeciwko granicy na Odrze i Nysie. Raz jeszcze powtórzono ten argument w artykule dwóch powyższych publicystów Henry Bernharda i Fritza Eberharda w poważnym miesięczniku „Stuttgarter Rundschau” z maja br. Wstępny ten artykuł analizuje najpierw poglądy czterech mocarstw okupacyjnych na sprawę granicy wschodniej Niemiec, przy czym obaj autorzy grożą, stwierdzając, że jeśli pamięta się o wielkich historycznych konfliktach między Rosją a Polakami, to trudno ustąpić się przed wrażeniem, że Rosja dla ułatwienia sobie własnej pozycji wmanewrowała Polaków w gorszą jeszcze wrogość dzielącą między sobą a Niemcami. Motyw głodu i niewystarczalności gospodarczej Niemiec bez ziem położonych na wschód Odry i Nysy, powraca w artykule tym bardzo wyraźnie. Nadto artykuł ten jest jednym z wielu dowodów na przekraczanie faktów i postanowień między-narodowych w sprawie granicy na Odrze i Nysie wobec opinii niemieckiej. Oba publicyści piszą tu m. in., że prezydent Truman zgadza się na wysiedlenie milion Niemców z terytorium Polski przedwojennej i pół miliona importowanych na ten teren w czasie wojny Niemców z krajów bałtyckich lub z Besarabii. Artykuł zawiera jeszcze cały szereg innych stwierdzeń i wniosków, z którymi politycy polscy winni się bezwzględnie zapoznać, gdyż są one wyrazem szerokiej opinii niemieckiej. Do artykułu dołączono mapkę amerykańską, podającą jeszcze jeden „projekt” zmiany granicy zachodniej Polski. Jest to już trzydziesty po wojnie projekt naruszenia pokoju w Europie. Że robią to Niemcy, to rzecz zrozumiała, ale że przykładają do tego rękę Anglosasi, którzy dla tego pokoju przelewali krew najlepszych swoich żołnierzy, to rzecz conajmniej dziwna.

NA przestrzeni ostatnich kilku miesięcy prasa niemiecka niezwykle intensywnie atakuje ustalony na wschodzie porządek graniczny. Stwarza to

nieszczęśliwe warunki dla psychicznego odnowienia Niemiec. W ciągu jednego miesiąca berlińska agencja wycinków przysłała nam blisko sto artykułów, notatek, przyczynków itp., materiałów do tej kampanii. Celu w tym oczywiście przede wszystkim pisma wychodzące na terenach strefy angielskiej, amerykańskiej, francuskiej, w ogólniejszy sposób starają się to robić pisma wychodzące na terenie strefy rosyjskiej. SED, partia socjalistycznej jednoci radzko na łamach swoich wydawnictw zabiera głos w tej sprawie i zasadniczo uważa ten stan rzeczy za konieczność. Jeśli jednak pewne tendencje polskie, uznające konieczność nawiązania w przyszłości pewnych sąsiedzkich stosunków z Niemcami, uważają na podstawie tych wypowiedzi SED jako jedynie możliwą do podjęcia pewnej współpracy czy to politycznej czy też poprzez jej udział w przyszłym radzie nie-mieckim także gospodarczej i kulturalnej, to przestrzec tu jedynie należy, że wypowiedzi SED w sprawie uznania granicy na Odrze i Nysie jako jedynie koniecznej nie mają pokrycia w masach, wśród tej części członków. Świadczy o tym nie tylko wypowiedzi na wiecach i meetingach SED, lecz także koncepcje, które w tym kierunku czynią jej wielcy kierownicy od Piecka i Grotewohla poczynając.

U Iwo Galla



Wzorowo prowadzony przez Iwo Galla Teatr Wybrzeża w Gdyni, zgłosił na ogólnopolski konkurs szekspirowski komedię „Jak nam się podoba”, w przekładzie T. Białkowskiego, z muzyką K. Meyerholda, w inscenizacji, reżyserii i dekoracji Iwo Galla. To piękne i oryginalne widowisko świadczy nie tylko o ambicjach pierwszego, starego teatru na naszym Pomorzu, ale również kwalifikuje tę scenę do kategorii najlepszych scen polskich. Na zdjęciu scena z II aktu. Od lewej M. Bogurska (Rozalinda), W. Kwakowski (Blazen) i Z. Wytyński (Koryn)

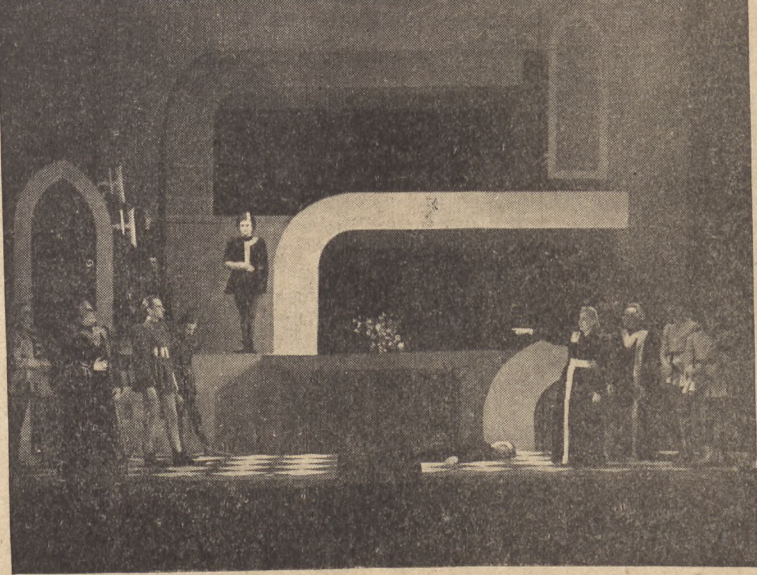
Festival szekspirowski

Szekspir u Horzycy

Usiłowałam poważnie patrzeć na tragedię kochanków z Werony, wystawioną w inscenizacji W. Horzycy. Bo to i powaga konkuruje szekspirowskiego i nazwisko inscenizatora i młody, ambitny, zdolny zespół. Patrząc poważnie musiałam się uśmiechać, a śmiać się nie mogłam, bo było mi smutno i przykro.

Mimo że „Romeo i Julia” jest pierwszym z długiego łańcucha świętych utworów Szekspira, stanowi dokument ogromnego, dojrzałego talentu poetyckiego i scenicznego. Talentu, którego

Szekspirowska Julia to uosobienie miłości. Autor wyposażył ją we wszystkie elementy kobiecości. Od naiwnego podłoża do dojrzałej przez miłość kobiety. Romeo z sentymentalnego trochę smarkacza zmienia się w kochającego swoją kobietę mężczyznę. Miłość uderzyła w nich jak grom. Nie wyrzekną się jej za żadną cenę. Tymczasem reżyser zrobił z ich ludzkiej — pełnej ognia, tem-peramentu — miłości — jakieś chore, słamazarne i blade uczucie osobników pozbawionych namiętności, bojących się dotyku



„Romeo i Julia” w Toruniu

dzieła nie tylko oparły się niszczącemu działaniu czasu, ale w dalszym ciągu czują świeżość barw, stanowiąc wartości, których artystycznej doskonałości nikt nie zdołał jeszcze osiągnąć.

Wszyscy znają dzieje Romea i Julii. Młody, pełnokrwisty chłopak zakochał się od pierwszego wzroku w czternastoletniej dziewczynie. Ona w nim. Kochają się, mimo, że dzieli ich nienawisć rodów, do których należą. Kochają się na życie i śmierć, bo nawet ona nie potrafi ich rozłączyć. Kochają się w czasie najbujniejszego rozkwitu Renesansu, w Italii — kraju, jakby umyślnie stworzonym dla miłości. Są gorąco-krwistymi, pełnymi temperamentu, wcześniej dojrzewającymi Włochami.

W inscenizacji toruńskiej nieśmiertelne dzieło Szekspira zostało pozbawione zupełnie namiętności i ognia. Zdać sobie sprawę z trudności wystawienia tej tragedii. Gdy jakiś teatr ma Romea — nie ma Julii. Jest Julia — to brak znów Romea. Oboje muszą być młodzi — o co łatwo — i przy szczerym talencie posiadać ogromną technikę aktorską — o co bardzo trudno przy małej praktyce sceniczej młodego aktora. Dlatego tak rzadko widzujemy „Romeo i Julię” na scenie. Od czasów wielkiej Modrzejewskiej były w Polsce najwyższe dwa przedstawienia tej tragedii godne uwagi. Ostatnie, bodaj w 1931 r., w Teatrze Polskim w Warszawie, z Karoliną Lubińską i Pawłem Skłodowskim w inscenizacji Arnolda Szyfmana.

Wystawienie „Romeo i Julii” przez W. Horzycę w ramach konkursu szekspirowskiego, świadczące o wielkich ambicjach. W moim pojęciu — oprócz ambicji — zawiodło, niestety, prawie wszystko. Piszę — prawie, bo oceniając przedstawienie toruńskie, należy w ocenie oddzielić inscenizację, reżyserię, scenografię i muzykę od gry aktorów.

Inszenizacja (W. Horzycy) usiłuje wydobyc autentyzm szekspirowski. Został on przez dekoratora (Torwirt) wystylizowany, dając w efekcie kubistyczny obraz, w którym ciemna płaszczyzna, na otworu scenicznego została przekreślona kolorowymi (czerwona i żółta) pasami, dzielącymi przestrzeń sceny na trzy kondygnacje. Najniższą, zależnie od potrzeby, jest ulica, całą zakonnika, cmentarzem itp.; środkową — mieszkaniem Kapuletów, salą balową, dziedzińcem pod balkonem Julii; najwyższą — sypialnią Julii, lub balkonem. Z prawej i lewej schody. Pośrodku najniższej kondygnacji — grobowiec Kapuletów, nad nim waza z bukietem czerwonych róż. Z prawej strony najwyższej kondygnacji — okno. Takie rozplanowanie przestrzeni pozwalało na prawdę na współczesność zdarzeń sceniczych, ale zmuszało do naiwności w rozwiązywaniu poszczególnych fragmentów akcji i ustawianiu w czasie. N. p. ojciec Laurenty, wchodzący ze świecą się wielką latarnią, potykając się prawie o zwłoki Parysa, nie widzi ich, bo musi pierw zobaczyć planę krwi. Nie spostrzegając trupa Romea, omija go, bo musi przed tym zobaczyć Parysa. Julia — po przebudzeniu się z letargu widzi wszystko dokoła, ale nie spostrzeżenie ga martwego Romea, którego głowa spoczywa na jej kolanach. Scena ta zresztą jest rozwiązana jak najgorzej. Zabitemu przez Romea Parysowi kazał inscenizator tak upaść, że nogi jego, obute w obuwy z długimi nosami, zasłaniają Julię w grobowcu i scenę jej samobójstwa. Oświełony w ostatniej scenie jasnym reflektorem bukiet czerwonych róż, mających być niby symbolem miłości — był jedynie dowodem złego smaku.

Przechodząc do oceny reżyserii muszę stwierdzić, że młodzi aktorzy zrobili wszystko co im kazał reżyser. (Dlatego napisałem wyżej, że zawiodło prawie wszystko.) Zespół jest bardzo zdolny i wyrównany. W grze aktorów widać najwyraźniej przeintelektualizowaną koncepcję reżysera.

W scenie poznania na balu, Julia i Romeo idą ku sobie jak lunicy z wyciągniętymi przed siebie rękami. Zatrzymują się i Romeo — nawet nie dotknąwszy ręk Julii — deklamuje:

»Sen nocy letniej« we Wrocławiu

Państwowe Teatry Dolnośląskie. „Sen Nocy Letniej”. Komedia w 5 aktach Williama Szekspira. Muzyka Feliksa Mendelssohna-Bartholda. Reżyseria Mariana Godlewskiego.

Zróżdło do „Snu nocy letniej” doszukiwali się szekspirologów w wielu dziełach poetów angielskich, francuskich, a nawet łacińskich, najślusniejszą jednak wydaje się hipoteza Karola Lamba, który twierdzi, że cały czarodziejski świat komedii jest oryginalnym tworem wyobraźni Szekspira. Otrzymałszy zamówienie na sztukę okolicznościową, mającą uświetnić godny weselne jakiejś dostojnej pary (przypuszczalnie obłubienicy była wdowa, matka protektora Szekspira hr. Southampton) poeta zaczerpnął wątki ze wspomnień dziecińczych, usłyszanych za młodych lat ludowych wierszy i wplótł w tę kanwę luźno z nią związany, zniekształcony motyw z mitologii greckiej, nawiązujący do weselnych uroczystości. W ten sposób, zgodnie z wymogami teatru elzbietańskiego, powstały równoległe przebiegające trzy, a nawet ściślej biorąc cztery akcje komedii. Akcje niejednolicie rozwinięte i obdarzone nierównym ładunkiem emocjonalnym.

W jednym z teatrów londyńskich widziałem realizację „Snu nocy letniej” niezwykle dobitnie podkreślając rozgraniczenie tych akcji, nie tylko oprawą sceniczną prymitywną i markującą tylko szczegóły w jednych scenach a olśniewającą przepychem i techniką w drugich, ale także i dostosowaniem do oprawy stylów gry aktorów. Anglij, przy całym swoim konserwatywnym teatralnym, eksperymentują na Szekspirze, wydobywając z jego sztuk co raz to nowe wartości, a nawet „smaczki”. Wiedeńska realizacja Reinhardta, znana zresztą ogólnie nie była technicznie udanej przekrobie filmowej, odeszła daleko od tradycji szekspirowskiej i prymitywizmu teatru elzbietańskiego, zamieniając całe przedstawienie we wspólną feerię dramatyczną, opartą na efektach wizualnych, tężące pięknym poezji i baśniowej fantazji rozszerzając na wszystkie akcje. Znamy teatru zgodnie przyznali przedstawieniu reinhardtowskiemu największe walory.

Również w teatrach polskich „Sen nocy letniej” kapie się cały w nastroju bajki. Taką była i realizacja wrocławska. Warunki techniczne sceny wrocławskiej pozwoliły na umieszczenie spektaklu w nierealnej sferze baśni. Brak sceny obrotowej uzupełniono ruchomymi wózkami, śpiętymi w gwiazdę i obracającymi się wokół osi z ekscentrycznym umieszczeniem, rozłożystym „dębem książęcym”. W ten sposób sceny II, III i IV aktu odbywały się

„Jeśli dłoń moja, co tę świętość trzyma, bluźni dotknięciem... i t. d.” Najważniejszy moment poznania się i zawiązania miłości rozpiął się we mgle metafizyki reżysera. Najbardziej uroczy flirt (jeśli można użyć tego słowa) jaki ma literatura dramatyczna, stracił cały smak i dowcip, zrobił się nienaturalny i nieefektywny.

W scenie balonowej za mało namiętności. Kochankowie za mało zajmują się sobą, poświęcając wiele uwagi deklamacji i niczym nie usprawiedliwionym gestom. Wydaje mi się, że potęgą miłosnego słowa tej sceny nie potrzebuje stylizowanych efektów plastycznych. Nie wyszła przez to — w tej scenie przemożna, opano-wująca oboje — chęć posiadania się już, zaraz. Może lepiej wysłać bybyta scena w znanym tłumaczeniu Mickiewicza. Przekład Paszkowskiego, użyty w Toruniu, jest za ciężki jak na taki wzlot uczuciowy.

W trzeciej miłosnej scenie — porannym pożegnaniu — nie podkreślił reżyser cudownie poetyckiego nastroju rozstania. Szczególnie Romeo nazbyt dosłownie reaguje na ostrzeżenie skowronka, którego śpiew przypomina o nadchodzący dniu, miosącym niebezpieczeństwo. Co prawda sam autor tak maluje psychikę Julii, że ta wydaje się bardziej zakochana niż Romeo, ale przecież jego późniejsze postępowanie świadczy o równorzędnoci ich uczuć. Zresztą Julia nie byłaby wzorem kobiety-kochanki, gdyby nie odczuwała głębiej i pełniej swej pierwszej, prawdziwej miłości.

Zajęłam się tak szczegółowo omówieniem ról tytułowych, bo inne nie mają zasadniczego znaczenia, są jedynie tłem dla akcji naczelną. Miłość Romea i Julii wypienia sztukę tak dalece, że nienawisć zwaśnionych rodów schodzi do roli kilku epizodów. Nawet pogodzenie się Kapuletów i Montekich nad grobem kochanków jest wydzikowaniem, świadczącym jedynie o potęgze miłości.

w coraz to innych zakątkach atenc-skiego gaju.

Przez umieszczenie orkiestry za sceną, wzmocniono nastroj tajemniczości. W czasie intermezzów muzycznych na tiulowym ekranie wykrywały rzucane przez epidauskop fantastyczne kwiaty, paprocie i splełane konary drzew, wśród których snuły się skapanie w białą księżycą walee mgieł. W takiej oprawie uwyppuklił się wątek baśniowy (będący zresztą kłamrą, spinającą pozostałe wątki), świat duchów plątający i rozwikłujący sytuację. Oberon Mariana Godlewskiego, szlachetny w geście i wyrazie, przez lekko zarysowaną demoniczność sylwetki nadał scenom leśnym nastroj niesamowitości.



Jan Kurnakowicz jako Spodek

zageszczony jeszcze wirującą ruchliwością i dynamicznym sposobem mówienia Puka — Niny Czerskiej, która chwilami przez wzmoczone tempo wiersza zacierała dykcję, łącząc błyskotliwy ruch ze słowem.

Odczynnikiem na ten nastrój niesamowitości powinna być posagowa duma Tytania. Olena Królowska wydobyla tylko słodycz i subtelna miękkość opiekunki leśnych duszków i stworzyła raczej postać miłej Goplany, niż Diany Leśnej, nie trafiając w scenach z Oberonem w dość wymiślny ton. Nastroj wniesiony przez mocną indywidualność Oberona-Godlewskiego został dopiero rozłożony przez uroczyste orszaki królowej elfów.

Najmocniej wpłynęli na świat leśnych duchów „śmiercielnikiem” jest Spodek — postać mająca za sobą na scenie polskiej tradycję najlepszych wykonawców z mistrzem Frenklem na czele. Nie wiem czy Jan Kurnakowicz widział obławkę starego sztychu angielskiego z XV wieku, ilustrującego obrzędy Święta Lata, na którym gajowy z uszami osła zaleca się do Królowej.



Scena ze „Snu nocy letniej” w reż. Mariana Godlewskiego. Od lewej: M. Ziobrowski (Głodniak), M. Mroczkowski (Ryjek), Jan Kurnakowicz (Spodek), J. Walden (Pigwa), K. Herba (Dudka), J. Sobieraj (Spój)

Rolę Romea odtwarza młody aktor — Leon Gołębowski. Ma doskonale warunki zewnętrzne, swobodę, harmonię ruchów i rzadką zaletę u początkujących aktorów w wielkich rolach: spokój i opanowanie. Brak temperamentu i uczucia wynikał z narzuconego przez reżysera stylu całego przedstawienia. Musi jeszcze popracować nad dykcją i głosem. Jest to zresztą uwaga pod adresem prawie całego zespołu.

Julia — Maria Mincerówna — mimo widocznego wysiłku, nie mogła udźwignąć ciężaru odpowiedzialności, należącej do najtrudniejszych w literaturze dramatycznej, roli.

Z innych wyróżnili się: Przemysław Zieliński — Benwolio; Zdzisław Salaburski jako Merkurio zagrał bezzębnie scenę śmierci; Lamza jako Tybald dobrze nienawidzi, za mało czupurny; Janusz Obidowicz — Parys — sympatyczny; Kozłowski jako stary Kapulet powinien łatwo unosić się gniewem, ale i łatwo zapominać; Kaniowski (Laurenty) — poprawny.

Trudno mi się zgodzić z postaciami nianki Marty, granej przez Molską, Martę — to zadomowiona niania, rozgadana Włoszka, ale nie akcentując specjalnie momentów trywialnych.

Bardzo dobrą scenę dali trzej muzykanci. Gdyby ilustracja muzyczna (Henryka Czyża) tak trafiała w ton całej sztuki jak w tej scenie, byłaby elementem pożądanym. Niestety orkiestra gra za głośno, nie tylko odwracając uwagę od tekstu, ale często zagłuszając aktorów.

W scenach zbiorowych wytworzyła się pewna marionetkowość. Poszczególne członki nie mają z sobą kontaktu i za mało reagują na słowa mówione przez figury prowadzące akcję. Wynika to w dużej mierze z ciasnoty trzech kondygnacji i znowu z dziwnej i nie trafiającej mi do przekonania stylizacji, która podobala mi się jedynie w bardzo ładnych kostiumach. Teresa Moszkowska

